

ZBIGNIEW KUBIKOWSKI



WIELKI UKŁAD

Zbigniew Kubikowski

WIELKI UKŁAD

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-44-9

Copyright © Spadkobiercy autora

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1975

Projekt okładki: Marcin Labus

Fotografia na okładce przedstawia scenę z filmu „Wielki układ”, którego scenariusz powstał w oparciu o jedną z nowel z niniejszej książki. Premiera: 1976. Reżyseria: Andrzej Jerzy Piotrowski. Autor zdjęcia: Jerzy Troszczyński. Właściciel praw autorskich zdjęcia: FilMOTEKA Narodowa – Instytut Audiowizualny. Osoby (aktorzy) na fotografii: po lewej – Janusz Zakrzeński (kreujący postać Józefa), po prawej – Leonard Pietraszak (kreujący postać Marka Kołodziejewskiego).

Spis treści

[Zamknięty przedział](#)

[Wyjazd służbowy](#)

[Wielki układ](#)

Zamknięty przedział

I

– Przytyłeś, Kolanko – powiedział Sadowski – źle znosisz upał.

Istotnie, pot spływał z twarzy Kolanki na krótką, grubą szyję, za rozchełstaną koszulę, strumień powietrza bijący przez opuszczoną szybę nie rozgarniał krótkich, mokrych włosów, tylko żłobił w nich płytkie przedziałki. Oparty bezwładnie, kołyszący się w rytm drgań wagonu, Kolanko nie ocierał już czoła, jak na początku podróży, patrzył spod ciężkich powiek na suchą twarz rozmówcy z tym rodzajem skrępowania, jakiego się doznaje wobec ludzi lepiej znoszących przeciwności losu. Nawet kołnierzyk koszuli wystającej spod szarej, lekkiej, zmiętej nieco marynarki Sadowskiego sztywny był i czysty, westchnął więc Kolanko, ramionami wzruszył.

– A kto znosi? Zboże spalone, trzy tygodnie kropla nie spadła.

– Ale przytyłeś. No co, może nie przytyłeś? Dobrze ci się powodzi.

Kolanko głębiej odetchnął hamując zniecierpliwienie.

– Jeść mam co – rzekł – żona gotuje dobrze, więc można powiedzieć, że mi się powodzi.

– A co, nie jesteś zadowolony? – pytał Sadowski z półśmiechem, choć pełna twarz Kolanki czerwieniała powoli, a wzrok mętniał nie tylko od upału.

– Dalej cię to interesuje?

– Dlaczego nie? Dalej mnie to interesuje.

– No to nie bądź taki święty Franciszek, dobrze? – rzekł Kolanko jeszcze łagodnie. – Robię, co robię, dzieci chodzą do szkoły, szwagierka czasem przyśle dolary, mam dwie jabłonki w ogrodzie, a żona hoduje kury. Już wiesz?

– A wiem. Dlaczego się denerwujesz?

– Wcale się nie denerwuję. Tylko nie potrzebuję współczucia.

– Miałeś inne plany? – upewnił się Sadowski.

– Każdy miał inne plany. Jednemu wyszło, drugiemu nie wyszło.

– Tylko każdemu dlaczegoś wyszło i dlaczegoś nie wyszło – powiedział Sadowski.

– Ty, odczep się ode mnie, dobrze? – wybuchnął Kolanko. – Jednemu wszystko się udaje, wszystko się pcha do rąk i tylko kadzidla mu palą, patrzcie, jaki zdolny, jaki zasłużony, a jak nie zasłużony, to się jeszcze zasłuży, i tu mu awans, tu mu order, tu mu...

– Jak mnie? – spytał Sadowski.

– Jak to...

Urwał Kolanko, oprzytomniał. Wytarł czoło chustką.

– Przepraszam – burknął.

Koła stukają, kołysze się Kolanko, Sadowski opiera się również, przymyka oczy.

Milczą.

– U mnie jabłonki co dwa lata rodzą – odzywa się wreszcie Kolanko. – Na przemian. Wiesz?

– Jakby się umówiły, co?

– Jakby się umówiły.

I znowu milczą, z półprzymkniętymi oczami wyglądają, jakby drzemali, ale Kolanko bębni palcami po kolanie, co chwila zmienia pozycję i z ulgą wita nagły wybuch wrzawy na korytarzu, stukanie do drzwi.

– Co się tam dzieje? – pyta Sadowski.

Kolanko zrywa się, wciska do spodni kipiącą koszulę, odsuwa zieloną zasłonkę, szczęśliwy, że znalazł wreszcie okazję do ruchu i krzyku.

– No co jest? – wrzeszczy przez szparę w drzwiach – nie widzicie, co tu pisze? Przedział za-re-zer-wo-wa-ny. Tak? Czytać nie umiecie? Wy? Wam o co chodzi?

Człowiek, do którego zwrócone było to pytanie, nie mógł od razu odpowiedzieć, bo głosów podniosło się wiele, a i konduktor do akcji się wmieszał; na koniec pod ramieniem Kolanki pojawiła się głowa szpakowatego mężczyzny uniemożliwiająca zamknięcie drzwi.

– To ja, Markowski, dzień dobry, panie dyrektorze, to ja...

– No co, Kolanko – powiedział Sadowski. – Wpuść, będzie nam weselej.

Kolanko zawahał się, ale posłuchał, zamknął za Markowskim drzwi, przekręcił zamek, zasunął zasłonkę, z ulgą opadł na kanapkę. Markowski położył wypchaną teczkę na ławce, postąpił ku Sadowskiemu z wyciągniętą ręką, lecz cofnął ją w pół gestu, skłonił się, potem zwrócił ku Kolance, który jednak nie zdradzał ochoty do powitania, ukłonił się więc Markowski po raz drugi, mówiąc bez przerwy i nieco bezładnie:

– Dziękuję, uprzejmie dziękuję, widziałem, jak pan dyrektor wsiadał, a ponieważ od dawna już miałem zamiar, to znaczy chciałem skontaktować się, porozumieć się, to znaczy poinformować pana dyrektora, w każdym razie pomyślałem...

– No co, Kolanko – rzekł Sadowski – poproś pana, żeby usiadł, tyle lat, a maniery masz ciągle takie same.

– Siadaj pan – burknął Kolanko.

Markowski skłonił się, patrzył wyczekująco.

– I poczęstuj pana Markowskiego papierosem. Zachowuj się jak gospodarz.

Kolanko wyciągnął z kieszeni papierošnicę, otwartą podsunął pod nos Markowskiemu.

– Pał pan.

Markowski powiesił w rogu jasny prochowiec, usiadł ostrożnie, podciągając na kolanach kanty spodni, przyjął papierosa, trzasnął zapalniczką.

– To panowie... – rzekł ze zdumieniem – panowie się znają.

– O, szmat czasu – powiedział niedbale Sadowski. – Ale straciliśmy się z oczu.

– No! – ożywił się Kolanko – jak cię dzisiaj zobaczyłem, to w pierwszej chwili nie poznałem, on, myślę, nie on, a jak on, to wcale się nie zmienił, włosy tylko posiwiały...

– Pan dyrektor bardzo młodo wygląda – rzekł stanowczo Markowski.

– Dziękuję – skinął głową Sadowski. – Zawsze mi to pan powtarzał.

– Zawsze szczerze.

– A nie wątpię. Nie stać pana na nieszczerłość.

– Tak sądzę. To znaczy... nie rozumiem.

– No proszę, ja panu mówię komplementy, a pan mnie nie rozumie.

– Ja rozumiem – odezwał się Kolanko.

– Widać lepiej mnie znasz.

– Pracuję... pracowałem z panem cztery lata – rzekł Markowski z wyrzutem – cztery lata bez przerwy. Myślałem, że w podstawowych sprawach zawsze się porozumiemy.

– Ależ dobrze, dobrze, panie kolego. Przecież ja nie mam monopolu na znajomość ludzi. Sam ich sobie dobieram, sam ponoszę konsekwencje.

– To, co pan mówi – wykrzyknął Markowski – absolutnie nie jest jednoznaczne!

– A nie jest. Dlaczego się pan denerwuje?

– Ja się nie, denerwuję. Chciałem tylko powiedzieć, że w każdej sytuacji trzeba odróżnić czyjąś dobrą wolę od obiektywnej konieczności.

– Chce się panu gadać w taki gorąc? – spytał Kolanko wyciągając spod kanapy brązową butelkę. – Głowa mnie rozbolała. Napijesz się?

– Ciepłe piwo? – skrzywił się Sadowski. – Daj spokój.

Znów głosy na korytarzu, stukanie do drzwi.

– Zarezerwowane! – zawołał Markowski i zwrócił się do Sadowskiego głosem tak łagodnym, że aż czułym: – Ja mam w termosie herbatę z sokiem. Żona robi sok z wiśni, doskonały. A na pestkach likier. Lepszy niż oryginalne „Maraskino”.

– Panie – jęknął Kolanko – głowa mnie boli.

– Przepraszam – stropił się Markowski.

Stukot kół, głosy na korytarzu, dym nad przygasłym polem. Markowski popatrywał spod oka na Kolankę, wreszcie sięgnął do teczki, wyjął termos i podjął pertraktację.

– Gorąca herbata na upał jest najlepsza. Proszę mi wierzyć. Może pan spróbuje?

– No, Kolanko, nie daj się prosić – odezwał się Sadowski. – Przecież masz ochotę.

Kolanko przeciągnął się, kropla potu spływała mu między brwiami na nos, bo marszczył czoło i mrużył oczy przed dymem, więc potem i dymem pachniało w przedziale.

– Gorąca? Daj pan.

– Wypijcie za moje zdrowie – mruknął Sadowski.

– Ja także cały jestem mokry – wyznał Markowski nalewając ostrożnie herbatę do plastikowej nakrętki. – Biegam od rana, aż mi w oczach ciemno.

– To od nadmiaru dobrych chęci – rzekł Sadowski.

Tym razem Kolanko wziął Markowskiego w obronę. Widać, smakowała mu herbata.

– No nie bądź taki, człowiek przecież życzliwy – powiedział dobrodusznie. – Życzliwego łatwo stracić, a spotkać trudno.

Markowski wyprostował się, zakręcił termos, schował go do teczki i zaczerpnął tchu.

– Panie dyrektorze – rzekł z determinacją. – Będę absolutnie szczery. Ośmieliłem się wtargnąć do panów, ponieważ chciałem wyjaśnić panu dyrektorowi moje intencje i moje postępowanie.

– No proszę – uśmiechnął się blado Sadowski. – I co ty na to, Kolanko?

– A dlaczego? – Kolanko poprawił się na ławce, wytarł czoło, widać, poczuł się lepiej. Dym znowu odpłynął od pociągu, kładł się na polu pasmem strzępiastych obłoczków. – A dlaczego? Niech mówi. Chętnie posłucham. Szybciej czas zleci.

Markowski poprawił się, odchrząknął, nogę na nogę założył i zapalił papierosa.

– Panie dyrektorze – zaczął – musi pan zrozumieć, że naprawdę i szczerze jestem po pańskiej stronie. Sytuacja, w jakiej się znalazłem, nie ma nic wspólnego z moimi osobistymi przekonaniem ani z moim poczuciem lojalności. Jestem głównym księgowym. To właśnie określa moją sytuację. I nie chodzi mi wcale o sprawy formalne...

Sadowski z głową na oparciu, brodą uniesioną ku górze, przymkniętymi oczyma słuchał monotonnego głosu Markowskiego jak tyle już razy, od tylu dni i lat, nie odróżniał słów, został tylko znany ton, który wchłonął w siebie stukot kół, sapanie lokomotywy, jak motyw muzyczny towarzyszący mu od dawna, przez wiele sytuacji i miejsc, ale teraz, w dusznym przedziale, związany z jednym tylko dniem, z jedną sytuacją, z jednym miejscem.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRSZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI